

Słownik Polskich Artystów Plastyków na Obczyźnie w XX wieku



Polski Instytut Naukowy w Kanadzie, Biblioteka Polska w Montrealu.

Katarzyna Szrodt

Dzięki porozumieniu Polskiego Instytutu Studiów nad Sztuką Świata z Narodowym Instytutem Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą – POLONIKA, dochodzi do skutku długo planowany projekt stworzenia Słownika Polskich Artystów Plastyków na Obczyźnie w XX wieku. Materiały zbierane przez badaczy polskiej sztuki na emigracji w Wielkiej Brytanii, Francji, we Włoszech, w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych zostaną podsumowane w postaci słownikowych biogramów w publikacji książkowej i w wersji internetowej.

Poza nielicznymi wyjątkami, emigracja artysty plastyka powoduje brak wiedzy o nim w kraju. Szczególnie skutki tej nieobecności mocno odczuła emigracja plastyków tzw. fali wojennej, gdy w wyniku „nowego porządku politycznego”, jaki zapanał po zakończeniu drugiej wojny światowej, wielu twórców nie powróciło do ojczyzny, z konieczności wybierając los emigranta. Zamknięte granice PRL-u nie przepuszczały wiadomości na temat dokonań artystów, ale również sami artyści, nie godząc się na powojenną sowietyzację Polski, najczęściej nie dążyli do kontaktów z polskim środowiskiem artystycznym. Tak więc obszerny rozdział polskiej historii sztuki wojennej i powojennej powstawał przez 50 lat w różnych krajach świata i dopiero początek lat 90. rozpoczął etap badań nad sztuką emigracyjną.

„Sztuka w poczekalni”, jak polską plastykę powstałą poza granicami kraju, nazywa profesor Jan Wiktor Sienkiewicz, ma szansę opuścić to marginalne miejsce i stać się ważnym rozdziałem polskiej powojennej historii sztuki. Takie właśnie szanse daje Słownik, gdyż materiał ten, do tej pory rozproszony w różnych publikacjach, studiach, artykułach, stanie się bazą i odnośnikiem dla dalszych studiów nad twórczością emigracyjną.



Wybitna artystka gobelinów, Tamara Jaworska (Toronto), fot. arch. rodzinne.

Cieszy mnie możliwość stworzenia części Słownika dotyczącej artystów polskich w Kanadzie. Od ponad dziesięciu lat, sama doświadczając losu emigranta w Kanadzie, badam twórczość polskich Kanadyjczyków. Artyści fali wojennej, których los rzucił do Kanady, znaleźli się na wyjątkowo trudnym gruncie, gdyż Kanada nigdy nie była kolebką sztuki. Artyści rodzimi, w Toronto i Montrealu, dwóch liczących się w latach 50. i 60. centrach artystycznych, zapatrzeni byli w abstrakcję nowojorską, gdy tymczasem większość polskich artystów-emigrantów reprezentowała szkołę realizmu bądź postimpresjonizmu. Była to pierwsza poważna przeszkoda utrudniająca wejście na rynek sztuki obok braku kontaktów w świecie marszandów sztuki i w środowiskach kolekcjonerów. A jednak wszystkie te przeciwności okazały się możliwe do pokonania i polscy artyści zaznaczyli swój wkład w sztuce kanadyjskiej, co teraz warto podsumować w Słowniku Polskich Artystów Plastyków XX wieku.

Część dotycząca Kanady znajdzie się obok badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii i we Włoszech pod kierownictwem profesora Jana W. Sienkiewicza oraz materiału dotyczącego twórców we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Prace nad Słownikiem dopiero ruszają i zajmą prawdopodobnie dwa-trzy lata. Bogaty materiał z pewnością zostanie przetłumaczony, aby mógł stać się częścią powojennej historii sztuki europejskiej i północnoamerykańskiej.

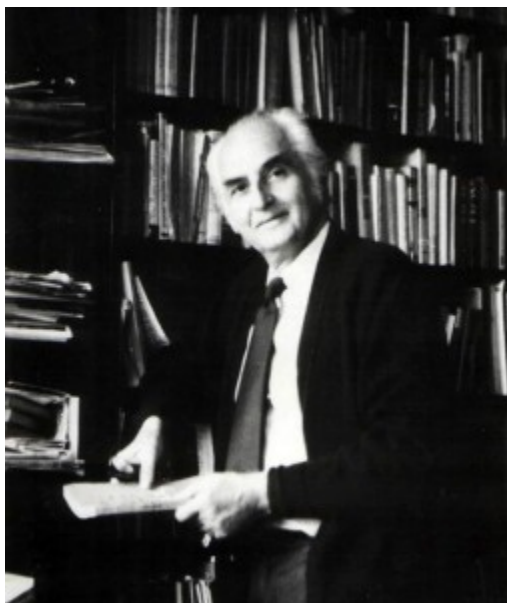
O „sztuce w poczekalni” i polskich artystach w Kanadzie:

<http://www.cultureave.com/polska-sztuka-na-emigracji/>

<http://www.cultureave.com/tworczosc-polskich-artystow--plastykow-w-kanadzie/>

<http://www.cultureave.com/w-magicznym-swiecie-gobelinow/>

Leopold Pobóg-
Kielanowski
(1907-1988).



Leopold Pobóg-Kielanowski, fot. Encyklopedia Teatru Polskiego.

Florian Śmieja

“Ja przed wojną jeździłem na pańskie przedstawienia w Katowicach”, miał powiedzieć Jan Paweł II Leopoldowi Kielanowskiemu.

Ja także jeździłem na te przedstawienia, choć moja motywacja była inna, właściwie nie pamiętam wiele z tych czasów tuż przed wybuchem wojny. Utkwiła mi w pamięci wycieczka uczniów państwowego Gimnazjum i Liceum im. ks. Jana Opolskiego w Tarnowskich Górach na przedstawienie calderonowskiego “Księcia Niezłomnego” w przekładzie Juliusza Słowackiego granego w teatrze Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Wysłuchałem tyrad wygłoszonych pięknym językiem przez portugalskiego infanta, jak się miało okazać, Leopolda Pobóg Kielanowskiego, młodego aktora i reżysera hołdującego idei

teatru monumentalnego.

Miałem go później zobaczyć w Anglii, wszak był wieloletnim reżyserem Teatru Polskiego w Londynie i wznawiał udane inscenizacje z Polski. Nie zapomniał o "Księciu Niezłomnym", choć rolę główną grał już ktoś inny.

Tę sztukę obserwowałem już uważniej, gdyż ukończyłem studia iberystyczne. Po latach miałem się zjawić na uniwersytecie wrocławskim jako promotor doktoratu poświęconego tej sztuce.

Zadośćuczyniłem w ten sposób za burszowskie zachowanie w 1938 roku, kiedy wraz z grupą uczniów głośno, dla kawału, gryzłem suchary, by zakłócić patetyczne sceny dramatu.

A z kurtuazji bardziej niż z przekonania posłałem Kielanowskiemu do wglądu mój przekład moralitetu eucharystycznego Calderona "Tajemnice Mszy św".

Józef von Eichendorff



Zamek w Toszku.

Andrzej Rumiński

We wrocławskim Parku Szczytnickim, w jego północno-wschodniej części, postawiono w 1911 roku pomnik jednego z najwybitniejszych poetów ziemi Śląskiej, Józefa von

Eichendorffa. Na trzystopniowym murowanym, kwadratowym postumencie z dwoma płaskorzeźbami, stała kiedyś naturalnej wielkości postać poety tzw. „wędrujący młodzieniec”.

Twórcą odlanego z brązu pomnika był Alex Kaumann. Współczesny autor niemiecki pisał w 1994 roku:

(...) władze polskie usuwając pomnik po wojnie w 1945 roku nie wiedziały chyba lub nie chciały pamiętać o tym, że Eichendorff był przychylnie nastawiony do Polaków (znał język polski – A.R.), miał wśród nich wielu przyjaciół aż do swojej śmierci.



■ Pomnik „Wędrujący młodzieniec” z 1911 r.
w Parku Szczytnickim, rys. z „Das Breslau Lexikon”
G. Schauerмана.

Sięgnijmy do encyklopedii by dowiedzieć się czegoś więcej o poecie.

Ur. 10.XI.1788, zm. 26.XI.1857 r. niemiecki poeta i prozaik związany z kręgiem romantyków niemieckich. Był przede wszystkim twórcą wierszy lirycznych (Gedichte 1826, 1837) szeroko znanych i przetrwałych do dziś głównie w postaci pieśni ludowych. Do najbardziej znanych jego dzieł pro-

zatorskich należy nowela „Z życia nicponia” (1826, wyd. pol.-1924). Eichendorff był autorem powieści biograficznej „Ahnung und Gegenwart” (1815), bajek i komedii oraz tłumaczem dzieł Calderona i Cervantesa.

Z innych źródeł dowiadujemy się, iż ród poety wywodził się z Bawarii i stamtąd przybył do Austrii. Ojciec poety w 1875 roku był dziedzicem Łubowic nad Odrą na północ od Raciborza. W tamtejszym barokowym pałacu – zbudowanym przez dziada i ojca – urodził się hrabiemu Adolfowi syn Josepf Freiherr von Eichendorff. Rodzina była bardzo pobożna i dlatego wysłano 13-letniego Józefa wraz z bratem Wilhelmem do katolickiego gimnazjum Św. Mateusza we Wrocławiu. W budynku tym już w okresie ostatnich Piastów mieścił się ośrodek pomocy socjalnej dla chorych będących pod opieką czeskich zakonników z Pragi. Gimnazjum to ukończyło wielu znanych na Śląsku postaci, m.in. historyk kościelny Józef Wittig, Jan Dzierżon – zwany „ojcem pszczół” oraz jako ekstern, znany później działacz polityczny, Ferdinand Lassale.

Po skończeniu gimnazjum w 1805 roku obaj bracia wyjechali na studia prawnicze do Halle i Heidelbergu, poznając tam środowisko poetów romantyków. Po studiach w 1808 roku Józef wyjechał do Paryża, następnie do Wiednia i po powrocie do kraju w lutym 1813 roku wstąpił do armii pruskiej, do ochotniczego

korpusu dowodzonego i zorganizowanego przez majora barona Adolfa Ludwika Lutzowa (1782-1834), działacza patriotycznego, którego korpus odznaczył się w walkach przeciwko Napoleonowi. Korpus rozwiązano w 1814 roku, zaś Eichendorff w rok później już jako oficer powrócił do Paryża, a następnie do kraju.

Po wojnie rozpoczął pracę w administracji pruskiej przenosząc się do różnych miast: Wrocławia, Gdańska, Królewca, Drezna, Berlina. Poznał wielu sławnych ludzi epoki, m.in. kompozytora i pianistę Feliksa Mendelssohna-Bartholdyego (1809-1847), kompozytora i wirtuoza fortepianu Roberta Schumanna (1810-1856) oraz pisarza Karola Holteia (1798-1880), śląskiego dramaturga i polonofila, wielkiego romantyka, autora wystawionej we Wrocławiu 2 III 1826 roku śpiewogry o Tadeuszu Kościuszcze p.t. „Stary wódz” (niem. *Der alte Feldher*). Nastroje we Wrocławiu zwłaszcza młodzieży studenckiej były bardzo przychylne dla wędrujących polskich emigrantów – przyjmowano ich entuzjastycznie jako „rycerzy wolności”, a Kościuszko cieszył się wielkim kultem wśród Niemców. Stąd też sztuka (dramat) Holteia osiągnęła niebywały sukces. Książka o Kościuszcze napisana przez K. Falkensteina wyszła w 1827 r. w Lipsku i w tym samym roku wrocławska oficyna Kornów wydała ją w polskim tłumaczeniu. „Starego wodza”

grywano przy aplauzie patriotycznie wzruszonych i

zapłakanych widzów (...). Była oklaskiwana przez widzów Berlina (tu prapremiera), Lipska, Drezna, Hamburga, Świdnicy, Cieplic, Poznania.

W czasie swego pobytu w Berlinie Eichendorff zakończył pracę publiczną i wraz z żoną Aloisą von Larisch osiedlił się w Nysie, zamieszkując w piętrowym domu (zniszczonym w 1945 r.) przy obecnej ulicy Bartosza Głowackiego. Poświęcił się tu całkowicie pisaniu. Oboje zmarli w tym domu: żona - 3 XII 1855 r., on sam - 26 XI 1857 r. Pochowani są w grobowcu rodzinnym na tzw. cmentarzu jerozolimskim w Nysie przy małym kościółku św. Krzyża położonym przy wylotowej ulicy Mieczysława I, prowadzącej do Otmuchowa. Grób jest zadbany, odwiedzany też często przez niemieckich turystów, którzy czczą pamięć Eichendorffa.

Jego liryczne wiersze są czasem publikowane (niestety w języku niemieckim) w „Schlesisches Wochenblatt - Tygodniku Niemców w Rzeczypospolitej Polskiej”, którego redakcja znajduje się w Opolu. Dotychczas były to m.in. „Pieśń kościelna” - śpiewana na nabożeństwach majowych, „Złamany pierścione” - pieśń ludowa, oraz wiersze „Ten stary ogród”, „Zatajona miłość”, „Wieczór” i kilka innych opiewających krajobraz Śląski, piękno przyrody i folklor.

W głębokiej liryce Eichendorffa słyszeć szum lasu, śpiew

ptaków, szemranie strumieni, powiew wiatru. Poznajmy wiersz pt.: „Wesoły wędrownik” w przekładzie nieznanego tłumacza.

Na kogo Bóg łaskawie spojrzy,
Ten dąży w dal, w szeroki świat,
Ten cuda światów skryte dojrzy,
Gór, lasów, rzek i łąków kwiat.

Leniwcy, co się w domu pierzą,
Nie ujrzą słońca złotych zórz,
W zaduchu chałup nędznie leżą,
Nie znają śpiewu, wina, róż.

Strumyki z gór wesoło skaczą,
Skowronki z śpiewem lecą wzwyż;
Precz troski, co żałośnie kraczą –
Chcę śpiewać – smutki precz, a kysz!

Jedyny Bóg niech nami rządzi,
Co stworzył ten uroczy świat,
On sprawiedliwie mnie osądzi,
Nie wzbroni mi swych łask – bom chwat!

Fragment pięknego wiersza „O doliny dalekie, o góry!” został wykuty na 3-metrowym, granitowym głazie-pomniku ustawionym w 1911 roku u szczytu Kobel-Bergu ob. Kobylicy – (392 m. n.p.m.) przy starym kamieniołomie. Powstał on dzięki staraniom prof. Alfonsa Nowacka, historyka-regionalisty oraz wspierających

jego działania mieszkańców Prudnika.



Pomnik Józefa Eichendorffa w Parku Szczytnickim.

Po II wojnie światowej zerwano brązowy medalion z popiersiem poety i skuto znajdujące się na odwrocie słowa jego utworu. W 1991 roku władze Prudnika i mniejszość niemiecka przywróciły wygląd pomnika do stanu sprzed wojny. Znow możemy przeczytać stary tekst (tłum. K. R. Mazurski):

Doliny w dali, wzniesienia,

O piękny, zielony lesie!

Ty radości ma skupienia,

Co i troski wzniosłe niesie.

Pomnik stoi ok. 1 km od wsi Dębowiec. Prowadzi tędy czerwony szlak turystyczny z Prudnika do Głuchołaz.

* * *

W 1995 r. Towarzystwo Społeczno Kulturalne Niemców w Nysie rozpoczęło przygotowania do ponownego odsłonięcia popiersia Eichendorffa w pobliżu domu w którym mieszkał i zmarł. Do pomocy włączyli się naukowcy, poeci i plastycy, a głównie Georg Latton z Krzyżanowic. Chodziło o to, by uroczystość była godna miana wielkiego twórcy; aby społeczność, która przybywała po wojnie do jednej z kolebek kultury Śląskiej, zaakceptowała „kawałek dawnej historii Nysy”, z której imieniem wiąże się Joseph Freiherr von Eichendorff. Georg Latton trzeci raz rekonstruował podobiznę Eichendorffa. Pierwszą kopię wykonał dla

Łubowic, drugą dla Raciborza, potem powstała trzecia – nyska realizacja. Po wojnie nyskie popiersie von Eichendorffa znalazło schronienie w kościele św. św. Jakuba i Agnieszki. Jest to jedna z kopii pierwotnego dzieła, które wędrowało po różnych miejscach Śląska, między innymi była w Rudach Wielkich. Z owej kopii Georg Latton sporządził kolejną replikę z utwardzonego gipsu, z której odlano teraz spiżowe popiersie. Na szczęście ocalał pod ziemią cokół po nyskim pomniku, co umożliwiło ustawienie całości na poprzednim miejscu. (...)



Zamek w Toszku. Płyta poświęcona Józefowi Eichendorffowi.

Przypuszczać można, że żyją jeszcze potomkowie Eichendorffa, ponieważ jego prawnuczka urodzona 9 II 1896 roku w Świdnicy

miała 12-ro dzieci. Na chrzcie który odbył się w kościele klasztornym św. Józefa dano jej imiona Elżbieta, Józefina, Ida, Maria. Była ona najstarszą córką generał-lejtnanta Hartwiga von Eichendorffa. Dziecinne lata wraz z rodzeństwem spędziła w Kłodzku, później została kwalifikowaną pielęgniarką. W czasie I wojny światowej pracowała w organizacji Czerwonego Krzyża niosąc pomoc rannym. W 1921 roku wyszła za mąż za księcia Oskara Strachwica, Śląskiego magnata ziemskiego mającego swój zamek w Psarach Wrocławskich (niem. Hunern) oraz majątek we wsi Gać Wrocławska (niem. Heidau). Jej najstarszy syn zginął w 1943 roku na froncie wschodnim w Rosji. W 1946 roku cała rodzina (wraz z mieszkańcami wiosek i majątków) została wysiedlona do Niemiec. Nowy dom założyli w Westfalii, w miejscowości Ense-Bremen. Mąż hrabiny Oskar zmarł w 1951 roku.

Ona sama zajęła się niezwykle aktywnie pracą w organizacji charytatywnej im. św. Jadwigi jako referentka do spraw kobiet. Zmarła 13 września 1976 r. i jest pochowana na cmentarzu obok grobu męża w Ense-Bremen. Wspomnienie o niej pt.: „Pamięci wielkiej Śląskiej kobiety, hrabiny Elizabeth Strachwic” zostało napisane z okazji jej 100. rocznicy urodzin.

Magistrat Wrocławia poza wystawieniem pomnika Eichendorffa w 1911 r. nazwał również ulice i place jego imieniem. Były to: Eichendorff-plan, dziś Skwer Obrońców Helu, Eichendorffplatz,

dziś pl. M. Anielewicza, Eichendorffstr., dziś ul. Sokola. Również inne wymienione tu postacie miały swoje ulice we Wrocławiu: dwie Holteistrasse, to dzisiejsze ulice Prosta i Darwina, Holteihöhe – to dzisiejsze Wzgórze Polskie (nazwa nieurzędowa) opodal Panoramy Racławickiej; nazwa niemiecka wprowadzona w związku z odsłonięciem pomnika von Holteia w 1882 r. Schubertstrasse to obecna ul. Elsnera. Liitzowstrasse to dziś Miernicza, Lutzowweg, dziś ul. Końcowa. W Opolu były ulice Eichendorffa i Holteia, w Bytomiu – Eichendorffa, Holteia i Schuberta, w Wałbrzychu – plac i ulica Lutzowa oraz ulica Schuberta.

Kończąc, poznajmy jeszcze wiersz pt.: „Pożegnanie” w przekładzie Stefana Napierskiego.

Wąwozy i kotliny, zielono-mgławcy bór,

O, rdzawe jarzębiny, jak zamyślony chór !

Świat, wiecznie zadurzony, miele wśród wartkich kół.

Obym twój strop zielony nad senną skronią czuł.

Gdy szaro wokół dnieje, gleba paruje w krąg,

Ptak nuci poprzez knieję i rosa lśni wśród łąk:

Niech pierzcha w błędne kraje pradawny, ziemski żal,

Rusałka zmartwychwstaje, jak blask porannych fal !

Porzucę wkrótce ciebie, tam, gdzie się kończy jar,

Na obcym śledzić niebie widowisk mętnych czar.

O, żegnaj mi, dolino, twój liść i mrok i mech,

Samotne dni popłyną, gdy leśny zamrze dech.

Podczas wędrówek po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej w czerwcu 2006 roku natknąłem się na tablicę pamiątkową na zamku w Toszku poświęconą Eichendorffowi.



Grób Józefa Eichendorffa.

Właścicielem zamku w końcu XVIII wieku był baron Adolph von Eichendorff, ojciec Józefa. Poeta spędził na zamku w Toszku dzieciństwo i młodość. Inny niemiecki poeta Johann Wolfgang von Goethe był gościem na zamku toszeckim 3 września 1790 roku, o czym pisał chwając zamkową gościnność. Również Goethe ma tu swoją tablicę pamiątkową. Ostatnie lata świetności zamku należały do rodu von Gaschin. W 1811 roku straszliwy pożar zniszczył zamek.

Dzisiaj ta stara budowla jak niegdyś góruje nad miastem, kusząc turystów swą unikalną gotycką bryłą. Odnowione wnętrza zamkowe są miejscem licznych wydarzeń kulturalnych, spotkań

biznesowych, koncertów i wystaw.

Fotografie: Andrzej Rumiński

Pasjonatka

Rozmowa z aktorką, pisarką, malarką... etc. - Barbarą Rybałtowską.



Barbara Rybałtowska, fot. TVP.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani zainteresowania są niezmiernie bogate. Jest pani pisarką, malarką, występuje pani na scenie, śpiewa piosenki. Skąd się wzięło w pani tyle pasji?

Barbara Rybałtowska: Rzeczywiście, straszna ze mnie „pasjonatka”. Skąd się to wzięło? Gdzieś to sobie we mnie drzemie, a jak się obudzi, to porywa mnie bez reszty. Nie wszystkie te moje pasje traktuję serio, chociaż całkowicie im ulegam. Ma się rozumieć, nie robię tego wszystkiego jednocześnie, po prostu, dla higieny psychicznej stosuję „płodozmiany”.

Pisarka

JSG: Napisała Pani przepiękna i wzruszającą VIII-częściową sagę rodzinną, której tematem są wojenne i powojenne losy pani i pani matki: „Bez pożegnania”, „Szkoła pod baobabem” i „Koło graniaste”, „Mea culpa”, „Czas darowany nam”, „Jak to się skończy”, „Co to za czasy”, „Co tu po nas zostanie”.

Kończą się beztraskie wakacje, zaczyna się wojna, ojciec zostaje wywieziony (zginął w Katyniu), a matka wraz z panią zostaje zesłana do gułagu. Podróż z Syberii do Afryki, to temat pierwszej książki z serii „Bez pożegnania”. Píše pani oczami matki, która znalazła w sobie nadludzką

siłę przetrwania. Dla pani, małej wówczas dziewczynki, chciała żyć. Takie przeżycia tworzą niezwykle silny związek. Proszę powiedzieć, dla kogo napisała pani tę wspaniałą, wzruszającą do łez sagę, uczącą optymizmu i woli życia?

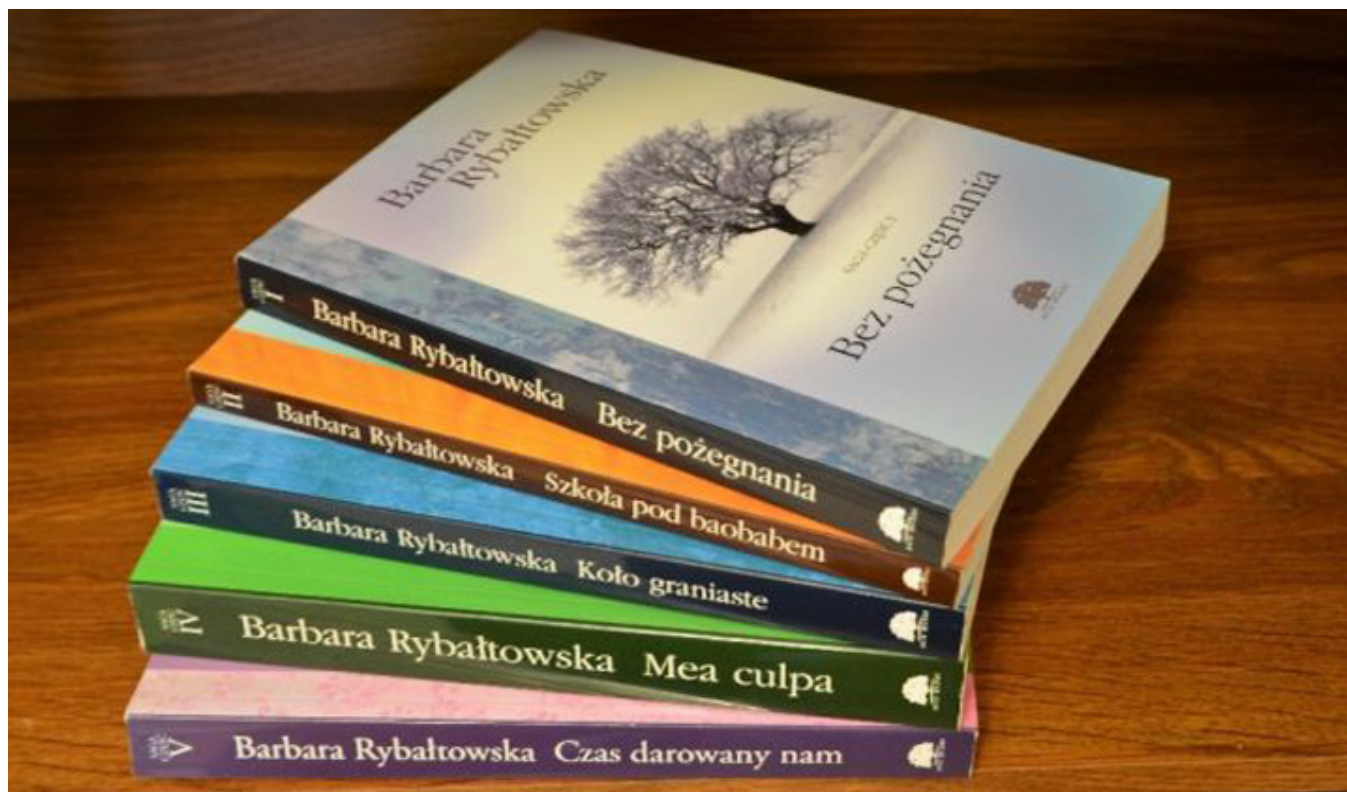
BR: Przede wszystkim, tak jak wynika z dedykacji, dla Mamy, żeby ją uwiecznić. Ale nie tylko, również dla córki i wnuków i w ogóle dla potomnych, dla siebie także. Tak robią wszyscy piszący, to jest potrzeba podzielenia się ze światem swymi przemyśleniami, wątpliwościami, nadzieją. Ta moja saga rodzinna nie jest li tylko historią mojej rodziny. Jest poszerzona o losy innych Polaków, tło historyczne. Czyta ją moje pokolenie, ale też coraz więcej ludzi młodszych.

JSG: Wiem, że kontaktował się z panią reżyser Jerzy Antczak. Czy są jakieś szanse na ekranizację „Bez pożegnania”?

BR: To fakt, że jest wielkim fanem tej książki, ale z różnych względów nie może tego zrobić. Natomiast przeczytanie przez Jadwigę Barańską i Jerzego Antczaka mojej sagi zaowocowało wspaniałą przyjaźnią między nami, którą sobie bardzo cenię. Jurek napisał swoje wspomnienia. Bardzo pożyteczna i mądra lektura, powinna odnieść sukces.

JSG: Pisze Pani też powieści: „Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu”. Książki wciągają czytelnika - interesująco prowadzona intryga i zawarte w niej życiowe przesłanie. Skąd Pani bierze pomysły na powieści?

BR: Najpierw rodzi się problem, który mnie nurtuje, potem metoda jaką chciałabym to przekazać, a na końcu wypełnia się to treścią. A ta najczęściej mnie samą zaskakuje. Dlatego właśnie pisanie jest fascynującą przygodą.



Saga rodzinna Barbary Rybałtowskiej.

Biografistka

JSG: Napisała Pani biografie: Barbary Brylskiej, Barbary

Wrzesińskiej, Igi Cembrzyńskiej, Stefana Rachonia oraz Czesława Ciotuszyńskiego, konstruktora statków kosmicznych z USA. Co zafascynowało Panią w tych osobach, że zapragnęła Pani zgłębić ich życie?

BR: Kiedy sięgamy po pióro, żeby pisać czyjąś biografię, na ogół jest to osoba, która porusza wyobraźnię nie tylko piszącego, ale szerszych kręgów ludzi. O Basi Brylskiej pisałam po to, żeby po jej tragedii (*śmierć córki, przyp. JSG*) pomóc się jej podnieść, spojrzeć na to, co było dobre w życiu, zająć ją czymś.

Inne moje bohaterki to też wybitne aktorki. Fascynacja nimi rosła w trakcie pracy nad książką. Biografię pana Ciotuszyńskiego pisałam na jego zamówienie. Moja córka dokonała przekładu na język angielski. W amerykańskiej wersji bohater nie umieścił nazwiska ani tłumaczki, ani nawet autorki – no, cóż... Powiedział mi, że ktoś mu doradził, że tak będzie dla niego lepiej. Nie komentuję...

JSG: Przeprowadzam wywiady z różnymi ludźmi, artystami, naukowcami. Zauważyłam, że każda z tych osób coś mi zostawia, jakąś energię, zdanie, które zapamiętam do końca życia, sposób widzenia świata, sposób odczuwania. Gromadzę sobie taki swój „kufer ze skarbami”. Czy Pani też wiązuje się emocjonalnie z osobami, o których pani pisze?

BR: Śledzenie czyichś losów zawsze jest pouczające. Łapię się często na tym, że w trakcie pracy następuje taki moment, kiedy się identyfikuję z bohaterami do tego stopnia, że zaczynam im wkładać w usta zdania tkwiące we mnie. Wtedy szybko dokonuję korekty i wracam na ziemię. Zawsze głębsza analiza drugiej osoby jest też inspirująca.

Aktorka-autorka

JSG: Napisała pani monodram pt. „Próba u Poli Negri” i z powodzeniem pani w nim występowała. Proszę powiedzieć, dlaczego zainteresowała się pani tą postacią?

BR: W czasie trwania mego paryskiego śpiewania wśród muzyków francuskich, nie wiem czemu, miałam „ksywę” Pola Negri. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi. Ale dwa lata temu moja koleżanka aktorka poprosiła mnie o napisanie dla niej monodramu z piosenkami o Marlenie Dietrich. Zaczęłam zbierać materiały. W trakcie tej pracy natknęłam się na pamiętniki Poli Negri. Równocześnie - zbiegiem okoliczności - dostałam w prezencie płytę z nagraniami filmowych przebojów Poli Negri. Spodobały mi się i zaczęłam je tłumaczyć, gdyż ona nigdy nie śpiewała po polsku. Pokazałam te przekłady pewnemu wybitnemu reżyserowi, a on nieoczekiwanie powiedział: a czemu ty sobie nie napiszesz dla siebie monodramu o Poli? Pasowałabyś do tego. Roześmiałam się najpierw, a potem zaczęło mnie to nurtować. No i po dwóch miesiącach, sztuka była gotowa.

Łańcuszek dobrej woli, jaki rozpętał się w czasie jej powstawania dobrze wróżył. Wciąż ktoś mi przynosił, a to kolejną książkę o Poli, a to jakiś jej film, a wydział kultury Miasta Stołecznego Warszawy w drodze konkursu pomógł w sfinansowaniu przedsięwzięcia. Premiera odbyła się 16 stycznia 2006 roku w Sali Reprezentacyjnej Zaisu przy komplecie widzów.

Pola miała fascynujące życie. Ja grałam dość wiekową gwiazdę, która szykuje się do recitalu swoich filmowych hitów na balu charytatywnym. Stąd tytuł: „Próba u Poli Negri”. Telefon z Polski skłania ją do refleksji nad całym jej życiem.

Sztuka miała powodzenie, a dla mnie była wspaniałą odskocznią od siedzenia przy komputerze. To takie *katarsis*, żebym nie zardzewiała.



Barbara Rybałtowska na Targach Książki w Warszawie/

Malarka

JSG: Jak to się stało, że zaczęła pani malować?

BR: Malować zaczęłam stosunkowo późno. Moja siostra była

uczennicą Liceum Sztuk Plastycznych, potem studiowała architekturę wnętrz, malowała. Podglądałam ją, nawet nie wie jak jej zazdrościłam. Aż tu kiedyś w Paryżu, gdy śpiewałam w ekskluzywnym kabarecie usytuowanym przy l' Avenue de l'Opera, w oczekiwaniu na mój występ szkicowałam jakieś krajobrazy, portreciki kolegów artystów. Właściciel kabaretu zaglądał w te moje rysunki przez ramię i powiedział:

Właśnie zamierzałem zmienić wystrój kabaretu i wiem, kto robi dekoracje.

- Tak? To dobrze - odrzekłam zdziwiona, że mi się zwierza ze swoich planów.

- Ciebie, Barbara mam na myśli - dodał.

- Mnie? Ja miałabym robić remont?

- Bez przesady! Ale jak już będzie po remoncie, mogłabyś zrobić dekoracje.

- Nie rozumiem.

- Po prostu, kupię farby artystyczne do tynków, drewna i szkła, a ty wymalujesz wszędzie takie obrazki, jakie tu robisz - wszędzie: na ścianach, witrynach i drzwiach.

- Żartujesz...

- Bynajmniej nie. No oczywiście, musisz w tych malowidłach nawiązać do charakteru kabaretu, a poza tym masz wolną rękę.

- Naprawdę dostanę farby i będę mogła malować na szkle, drewnie i ścianach, naprawdę? - niedowierzałam memu szczęściu.

(Działo się to w czasach głębokiego Peerelu, kiedy farby i wszelkie insygnia malarskie były niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Zawodowi plastycy, uczniowie i studenci szkół artystycznych kupowali je w specjalnych sklepach dostępnych tylko dla nich, na jakieś tajemnicze talony, przydziały).

- Farby dostaniesz ode mnie w prezencie, ile zużyjesz, to zużyjesz, reszta twoja, no i oczywiście dostaniesz honorarium - kontynuował mój szef.

Jak powiedział, tak się stało. Za kilka dni, zaopatrzona w palety, pędzle i farby zaczęłam moją zwariowaną przygodę. Po paru tygodniach nastąpiło otwarcie kabaretu w nowej szacie. Było gwarnie, szumnie i tłumnie. Nazajutrz w jednej z paryskich gazet pojawiła się recenzja. Przechowuję ją do dzisiaj: ...*W nowo odrestaurowanym wnętrzu kabaretu snują się błękitnawe dymy, z nich wynurza się Barbara z mikrofonem. Obrazy przywodzące*

na myśl Chagalla, patrzące ze ścian, – ba! nawet z sufitu są wdzięczną oprawą dla rzewnych melodii. Publiczność oklaskuje dziś nie tylko wokalistkę, ale i autorkę dekoracji jedynej w swoim rodzaju – oklaskuje Barbarę...

Najzabawniejsza jest pointa tej mojej przygody. Choć honorarium za dekorację było pokaźne, to niewiele większe od sumy, którą zainkasowałam za pochłapaną farbami deskę, która służyła mi wtedy za paletę. Kupił ją, wprowadzając mnie w osłupienie pewien „galernik” (właściciel galerii sztuki współczesnej), bo uznał ją za interesujące „Tableau moderne”... Nie bez kozery śpiewam więc: *...ja nie artystka – ja szarlatanka!*

JSG: Artyści, ludzie pióra, patrzą na świat wnikliwie i umieją docenić jego wartość. Proszę powiedzieć, co dla Pani w życiu jest najważniejsze?

BR: Moja rodzina – jej spokój, zdrowie i szczęście. Ale też ten piękny i dziwny świat. Chciałabym, żeby było pięknie, spokojnie, żeby był czas na realizowanie marzeń, pomysłów. Zgoda i harmonia, mają dla mnie duże znaczenie i przyroda też. Kocham las, wodę, włości po puszczy Piskiej. Po prostu kocham życie.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim”, tygodniowym

dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika” z Nowego Jorku, 7 marca 2008 r.

Barbara Rybałtowska Pisarka, autorka tekstów, aktorka, malarka – artystka wszechstronna. Pracę artystyczną rozpoczynała w studenckich kabaretach STS-u. Dzięki działalności w Zespole Pieśni i Tańca “Mazowsze” trafiła na estradę i do teatru Syreny. Przekłada wiersze i prozę z języka rosyjskiego i francuskiego. Ma w dorobku powieści: “Bez pożegnania”, “Szkola pod baobabem”, “Koło graniaste”, “Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu” oraz poczytne, zbeletryzowane biografie ludzi z kręgu kultury: m.in.: “Barbara Brylska w najtrudniejszej roli”, “Barbara Wrzesińska przed sądem”, “Iga Cembrzyńska sama i w duecie”, oraz “Stefan Rachoń”, „Moc przeznaczenia” (biografia Czesława Ciotuszyńskiego – Polonusa z USA, konstruktora statków kosmicznych).

Beresteczko

Kresy – przywracanie pamięci



Beresteczko. Panorama.

Alf Soczyński

Aby z Dubna dojechać do Beresteczka, najbardziej kojarzącego się Polakom z wielką zwycięską bitwą stoczoną w roku 1651 z Kozakami, trzeba pokonać ponad trzydzieści kilometrów, jadąc na zachód przez Góry Pełczańskie. Warto wybrać tę trasę, gdyż wiedzie ona jedną z najbardziej malowniczych części Wyżyny Wołyńskiej, a w Beresteczku i okolicy znajduje się wiele cennych

zabytków. Pierwszą większą miejscowością na naszej drodze jest **Pełcza**, od której przyjęła się nazwa okolicznych gór. Kilka kilometrów na północ od Pełczy jest wzniesienie o wysokości 325 m n.p.m. i uroczysko **Czartoria**, którego nazwa związana jest z bardzo rozpowszechnionymi na Wołyniu prastarymi legendami o czarcich postępkach, czarownicach i czarach. Na południu, w okolicach wsi **Budy**, jest najwyższe wzniesienie Gór Pełczańskich o wysokości 358 m n.p.m. Względna wysokość wzniesień zalesionych drzewami liściastymi, zwłaszcza grabami, dębami i jesionami, wynosi tu od kilkudziesięciu do niecałych stu metrów. U ich podnóży widnieją liczne wąwozy i jary, często o urwistych bokach, którymi płyną strumienie i rzeczki. Na nasłonecznionych stokach i dolinach w okresie kwitnienia pojawiają się barwne i aromatyczne dywany stepowej roślinności ciepłolubnej. Te tereny to pozostałość pierwotnej puszczy, wyrwanej przyrodzie przez człowieka z powodu żyznej gleby. Tak wyglądała większość terenu Wyżyny Wołyńskiej, zanim człowiek nie wykarczował lasów i nie zaorał stepu. Do mniejszych miejscowości można tu dotrzeć jedynie drogami gruntowymi.

Beresteczko i **Boremel** leżą po przeciwległych stronach Zalewu Chrynickiego, wydłużonego zbiornika o nieregularnych kształtach, powstałego w wyniku przegrodzenia po II wojnie światowej wołyńskiego przełomu Styru w okolicach miejscowości **Chryniki**.

Beresteczko leży na południowym krańcu zalewu chrynickiego w rejonie Horochowskim. Trzeba więc od **Boremela** przejechać kilkanaście kilometrów wzdłuż zachodnich brzegów zalewu, aby znaleźć się na polach sławnej bitwy.

Zalew rozciąga się mniej więcej pośrodku dawnego systemu grodów usytuowanych wzdłuż biegu Styru, w pasie od południa na północ. Warto w tym miejscu przypomnieć ich nazwy, dziś zapomniane, a kiedyś często obecne na kartach dawnych zapisów historycznych. Najdalej na południe leżał gród **Korytno**, gdzie dziś jest wieś o tej nazwie, od niego na północ był gród w **Beresteczku**, w pobliżu którego był gród książęcy **Peremyl**, na północy był opisywany już **Boremel**, a jeszcze dalej na północ, gród **Bilcze**. W odległości około dwudziestu kilometrów od tego ostatniego, był gród **Nieświcz**, osłaniający południowo zachodnie przedpola **Łucka**, znacznie oddalony na zachód od koryta Styru.



Beresteczko

Zanim znajdziemy się w **Beresteczku**, zwiedzamy **Peremyl**, który był w tej okolicy głównym grodem i stolicą udzielnego księstwa. Historiografowie mylili go czasami z **Przemysłem**. Tutejszy gród na wysokim cyplu oblanym wodami Styru, istniał

już w czasach Lubarta Giedyminowicza w XIV wieku. Przechodził z rąk do rąk różnych rodzin ziemiańskich, by z czasem stać się własnością **Rafała Leszczyńskiego**, ojca przyszłego króla Stanisława. Następnie dobra przeszły do Skrzyńskich, a po nich do Pietruszewskich. Ostatnimi właścicielami byli Wroczyńscy, którzy najpierw dzierżawili, a potem odkupili posiadłość od barona Gustawa Grothausa. Na miejscu zniszczonego w XVI wieku przez Tatarów zamku, Pietruszewscy wzniesli w XVIII wieku pałacyk, utrwalony na rysunkach Napoleona Ordy. Został on zniszczony przez wojska austriackie w roku 1914. Z **Peremyła** jest już tylko pięć kilometrów do Beresteczka.

Beresteczko także miało niegdyś niewielki gród, położony na wyspie utworzonej przez rozwidlenie Styru, powiązany z głównym grodem w pobliskim **Peremylu** i było siedzibą ruskich książąt Bohuszów – Bohutywinów. W połowie XVI wieku, kolejny właściciel Aleksander Proński sprowadził tu arian. Zachował się na okolicznym wzgórzu jego wielki pomnik nagrobny w kształcie stożka, gdzie na jednej z cegieł jest wyryty napis informujący o wizycie króla Stanisława Augusta w roku 1787. Króla przyjmował w swojej rezydencji, postawionej na miejscu dawnego zamku książąt Prońskich, Jan Jakub Zamojski. Obok wybudowany został w roku 1802 przez wdowę po Zamojskim, Katarzynę Platerową z Sosnowskich, pałacyk klasycystyczny, stykający się narożnikiem z dawną rezydencją. Wokół budowli znany ogrodnik Dionizy Mikler urządził

efektowny park z widokami na rzekę, która przepływała przez środek parku. W okresie międzywojennym był tu sierociniec, prowadzony przez siostry zakonne. W przebudowanym po II wojnie światowej pałacu mieści się dom pomocy społecznej. Natomiast park dziś jest chronionym zabytkiem przyrody. Dawny barokowy kościół farny z I połowy XVIII wieku, uznany ongiś za najpiękniejszy na Wołyniu, znajduje się od czasu II wojny światowej w ruinie.

Nieopodal na jednym ze wzgórz jest kaplica św. Tekli, upamiętniająca 500 pomordowanych przez Tatarów dziewczyc. Na innym jest wysoki obelisk – pomnik nagrobny księcia Aleksandra Prońskiego i jego siostry Marii. Na jednej z cegieł obelisku jest inskrypcja informująca o pobycie tu króla Stanisława Augusta w roku 1787. Podobno pod tym pomnikiem król Jan Kazimierz wysłuchał mszy świętej przed słynną bitwą. Po bitwie ufundował tu drewnianą kaplicę. Na przełomie lipca i sierpnia roku 1920 pod **Beresteczkiem** oddziały polskie powstrzymywały marsz armii konnej Budionnego na Lwów. Miasteczko znane było w przeszłości z okolicznych jarmarków i wielu urokliwych XVIII – XIX wiecznych dworów, z których do dziś zostało zaledwie kilka. Obecnie **Beresteczko** jest miasteczkiem liczącym nieco mniej niż dwa tysiące mieszkańców, co stanowi niemal jedną trzecią ludności z XIX wieku i liczby mieszkańców do roku 1939.



Beresteczko, 1938 r.

Na wschód od **Beresteczka** jest pobojowisko z roku 1651. Jest tu cmentarz katolicki, którego kaplica pełniła funkcję kościoła katolickiego, a dziś służy wiernym wyznania greko-katolickiego.

Bitwa pod Beresteczkiem rozegrała się w dniach 28-30 czerwca 1651 r. i była największą z bitew w czasie zmaganiań polsko-kozackich. Wojska Bohdana Chmielnickiego razem ze wspierającymi go około 30 tysiącami Tatarów, liczyły razem około 110 tysięcy żołnierzy. Wojsko polskie dowodzone przez króla Jana Kazimierza ocenia się na około 75 tysięcy. Pierwszy główny impet decydującego uderzenia polskiego, które nastąpiło

30 czerwca, został skierowany na Tatarów. Nie wytrzymał go, porwali oni Bohdana Chmielnickiego i rzucili się do ucieczki. Kozacy pozbawieni głównego dowódcy zaczęli w panice ustępować z pola walki, cofając się w kierunku odległej o 5 kilometrów od Beresteczka wsi **Plaszowa**, pod którą schronili się w umocnionym taborze. Otoczyły ich oddziały polskie. Podjęte rokowania nie przynosiły ugody. 10 lipca dowodzący kozakami Iwan Bohun, wraz z częścią starszyny, usiłował podjąć próbę przebicia się przez polskie okrażenie, co większość kozaków potraktowała jak próbę ucieczki i ich oddziały ogarnęła panika. Tratując się nawzajem rozpoczęli ucieczkę z obozu przez błota i bagna zalegające nad rzeką Plaszówką. Polacy rzucili się w pogoń za nimi, która zamieniła się w rzeź. Rozproszone grupy uciekających broniły się bohatersko na wyspach i wzgórzach pośród bagien. Poległo około 30 tysięcy kozaków przy minimalnych stratach polskich.

W roku 1966 pod **Plaszową** utworzono rezerwat historyczny „Kozackie mogiły” z pomnikiem ku czci poległych kozaków i niewielkim muzeum, w którym zgromadzono znaleziska z pola bitwy. Głównym obiektem jest monumentalna Cerkiew-Mauzoleum poległych kozaków im. św. Jerzego, gdzie władze organizują masowe imprezy religijno-patriotyczne.

Książka „Być jak Pągowski” i spotkanie z mistrzem plakatu.



Plakaty filmowe Andrzeja Pągowskiego

Plakaty Pągowskiego od A do Z - nowa wystawa we Wrocławiu

28 lipca 2018 r. we Wrocławiu będzie można spotkać mistrza polskiego plakatu Andrzeja Pągowskiego na wernisażu wystawy plakatów filmowych, tworzących „Filmowy alfabet Andrzeja Pągowskiego”. Spotkanie z artystą zorganizowane zostanie w ramach 18. Festiwalu Nowe Horyzonty.

Na wystawie zgromadzono ok 100 plakatów, od „ABBY” do „Życia wewnętrznego”. Niektóre kultowe, inne mniej znane, wszystkie na miarę wielkiego plakacisty.

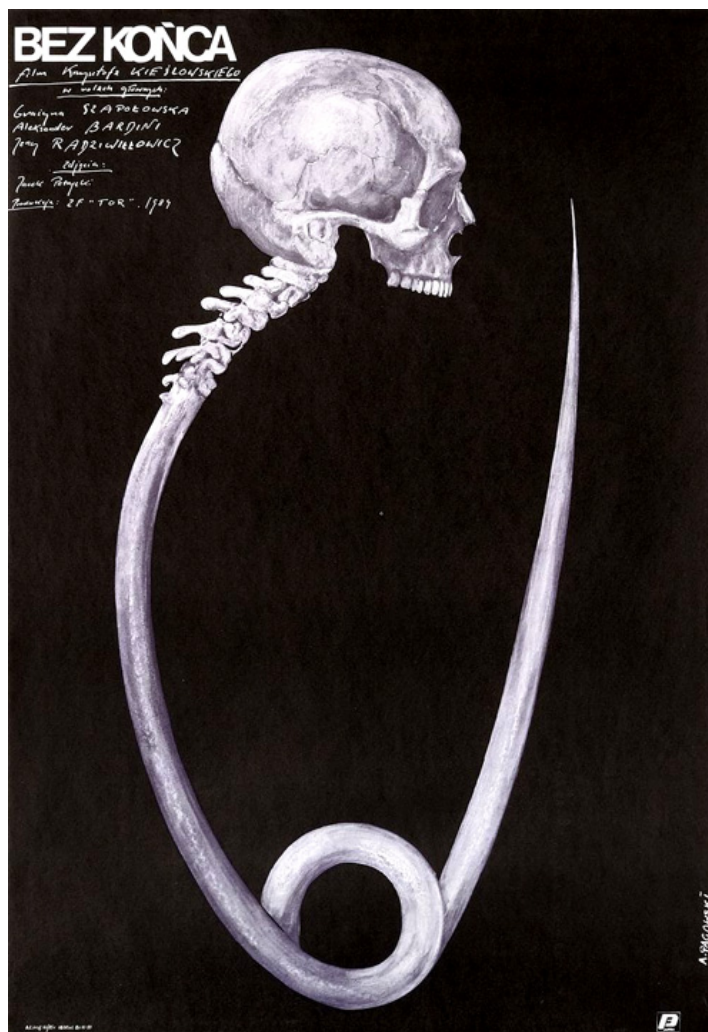
Spotkanie z Pągowskim odbędzie się w Galerii Polskiego Plakatu, mieszczącej się przy ul. Św. Mikołaja we Wrocławiu. W godzinach 18.00 – 21.00 można będzie wysłuchać ciekawych, zabawnych i inspirujących opowieści Pągowskiego na temat jego dzieł i okoliczności ich powstania. Uczestników wydarzenia nie ominie szansa na uzyskania autografu od samego autora na plakacie wystawy czy w jego najnowszej książce „Być jak Pągowski” będącej owocem jego rozmowy z Dorotą Wellman.

Wystawa eksponowana będzie w dniach 26. lipca - 11. sierpnia, czyli w czasie, gdy we Wrocławiu odbywać się będzie wielkie święto filmowe – 18. MFF Nowe Horyzonty. Wystawa oraz wernisaż uświetnią festiwalowe obchody, jednak same w

sobie stanowić będą nie lada atrakcją dla Wrocławian jak i licznie przybywających w tym czasie do miasta turystów.



Plakat wystawy



Bez końca

Andrzej Pągowski to bezsprzecznie jeden z największych mistrzów polskiego plakatu a jego prace na zawsze zrosły się z filmami m.in. Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego, Juliusza Machulskiego. Trafiły też do kolekcji m.in. Centrum Pompidou w Paryżu, Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie i Museum of Modern Art w Nowym Jorku. W swoim oszałamiającym dorobku zgromadził ok 1400 plakatów, w tym ok 600 filmowych, spośród których ok 200 dotyczy filmów polskich. Nie jest to jednak zamknięta statystyka, ponieważ Pągowski nadal tworzy i nie myśli o emeryturze. Ostatnio tworzył plakaty dla filmów

„Powidoki”, „Pokot” czy „Kamerdyner” i „7 uczuć”.

W zeszłym roku Andrzej Pągowski obchodził 40-lecie swojej twórczości, którą chciał uczcić poprzez namalowanie 40 plakatów. Nie udało się – zaprojektował ich aż 80! Obecnie pracuje nad plakatami do filmu Wojciecha Smarzowskiego i ma nadzieję, że w tym roku ich liczba nie będzie mniejsza.

Plakaty filmowe są ważną częścią twórczości Pągowskiego. Sam twierdzi, że woli plakaty filmowe od teatralnych bo są dla niego „łatwe” w tworzeniu. Film traktuje jako medium podpowiadacza, a podczas tworzenia lubi współpracować z reżyserem. To gwarantuje najlepsze efekty i ogromne rzesze miłośników, do których należy sam Krzysztof Kieślowski czy Marek Koterski.



Miś



Amator

Do najbardziej znanych i lubianych należą m. in. plakaty do filmu „Miś”, „Abba”, „Bal”, „Człowiek z żelaza”. Sam artysta twierdzi jednak, że nie ma swojego ulubionego. – *Jestem tak naprawdę jak zwierzę plakatowe i myśliwy w trakcie jego tworzenia. Poluję na pomysł i jak złapię go – po prostu tworzę. Nie rozpamiętuję ich. Rzecz skończona jest skończona. Jednak lubię te, które lubią ludzie, o które pytają* – przyznaje Andrzej Pągowski. – *Jest jednak jeden plakat, który jest dla mnie szczególnie ważny przez wzgląd na emocje jakie towarzyszyły mi w trakcie jego tworzenia, który jest spójny z moją dewizą życiową. To plakat „Przypadek” – dodaje.*



Andrzej Pągowski, fot. D. Roman.

Andrzej Pągowski - biogram

**KILKA SCENOGRAFII, KILKANAŚCIE MURALI,
KILKADZIESIĄT OKŁADEK, KILKASET PORTRETÓW,
KILKA TYSIĘCY RYSUNKÓW, ALE PRZEDE WSZYSTKIM
PLAKATY.**

Rocznik 1953. Absolwent PWSSP w Poznaniu, Wydział Plakatu, dyplom u prof. Waldemara Świerzego. Autor ponad 1300 plakatów wydanych drukiem od 1977 roku w Polsce i za granicą. Ponadto zajmuje się ilustracją książkową i prasową, jest autorem okładek wydawnictw płytowych, scenografii teatralnych i telewizyjnych, scenariuszy filmów i teledysków.

W 1989 roku rozpoczął pracę w reklamie, nie przerywając indywidualnej twórczości graficznej, jest dyrektorem kreatywnym i właścicielem firmy Kreacja Pro

Od kilku lat uprawia malarstwo w technice print druk na płótnie. Równolegle tworzy portrety na zamówienie.

Swoje prace Andrzej Pągowski prezentował na licznych wystawach indywidualnych w kraju i zagranicą. Jest laureatem kilkudziesięciu nagród polskich i zagranicznych, wśród których warto wymienić kilkanaście najwyższych trofeów na Międzynarodowym Konkursie na Najlepszego Plakat Filmowy i Telewizyjny (w tym 6 Złotych Medali i tytuł The Best of Show) w

Los Angeles oraz kilka nagród głównych na Międzynarodowym Konkursie na Plakat Filmowy w Chicago.





FILM POLSKI
PRESENTS THE FILM OF | PRÉSENTE UN FILM DE
WITOLD LESZCZYŃSKI
KONOPIELKA



TO KRAJOWE

Z P. TERAPIA

P



Jego prace znajdują się w wielu kolekcjach prywatnych i państwowych, między innymi w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku i San Francisco, w Centrum Pompidou w Paryżu. Metropolitan Museum of Modern Art umieściło plakat „Uśmiech wilka” wśród 100 najważniejszych dzieł sztuki nowoczesnej w zbiorach MoMA.

Autorskie reprinty plakatów dostępne w Andrzej Pągowski Art. Gallery powstają z wykorzystaniem barwników najwyższej jakości, na papierze o podwyższonych walorach artystycznych.

Ich podstawą są skany oryginalnych prac. W odróżnieniu od na ogół wyblakłych pierwodruków z minionych lat, mają oryginalną, intensywną kolorystykę. Dzięki temu są bardzo dekoracyjne i stanowią interesujący element wystroju wnętrz.

Na życzenie odbiorcy reprint może mieć własnoręczną sygnaturę twórcy. Może to przedłużyć czas realizacji zlecenia.



Być jak
PĄGOWSKI

Andrzej Pągowski w rozmowie
z Dorotą Wellman

1

Film Tolstoj" Ltd. prezentuje a Krzysztof Kieślowski film
BLIND CHANCE
 PRZYPADŁY



1981 i Nagrodę na VII Międzynarodowym
 Festiwalu Filmowym w Sztokholmie,
 wyróżnienie na Międzynarodowym
 Konkursie na Muzykę Plakat
 filmowy "The Hollywood
 Reporter Annual Key Art Award"
 w Los Angeles w tym roku

Przypadek Kieślowski

127

Kto do kogo trafił - ty do niego czy on do ciebie?

Nie, nie, nie. Pierwszą współpracą to był zupełnie przypadek. Helena Damięcka z filmu Polskiego zobaczyła mój pierwszy plakat do *Mętno i żółty* i uznała, że warto zaprosić mnie do współpracy. Pewnego dnia - to było chyba moje drugie zlecenie dla tej instytucji - dostałem do zrobienia *Amator*. Zrobiłem tę słynną cegłę. Spotkałem się wtedy z Kieślowskim. Krzysztof nie był człowiekiem wyświeconym, ale powiedział, że zakochało go moje podejście do tematu i jak będzie kręcił następny film, to chętnie powierzy mi zrobienie plakatu. Ja nie potraktowałem tego do końca poważnie. Pomyślałem sobie: „Fajnie”.

Potraktowałeś to jak grzecznościową, konwencjonalną gadkę?

Tak. Niesłusznie, bo od tamtego momentu wszystkie plakaty do filmów Kieślowskiego, aż do jego śmierci, robiłem ja. Nigdy nie robił ich nikt inny.

Wszystkie?

Do wszystkich jego filmów, oprócz *Trzech kolorów*, a dokładnie oprócz *Białego i Czerwonego*, bo *Niebieski* jeszcze zrobiłem. To był mój ostatni plakat dla Krzysztofa za jego życia, bo po jego śmierci zrobiłem jeszcze plakat o nim samym, na retrospektywny przegląd jego filmów. No i wielki projekt „Kieślowski na nowo”, gdzie w 20. rocznicę jego śmierci na Festiwalu Filmowym w Gdyni pokazałem 45 plakatów do wszystkich filmów fabularnych, dokumentalnych i estrad. Wszystkie zrobione na nowo po obejrzeniu filmów. Pokazałem tam cały *Dekalog*, który z racji emisji w telewizji nie miał oficjalnych plakatów. To było bardzo ciekawe doświadczenie zobaczyć te filmy na nowo i skomentować je w stylistyce naszych czasów. Bardziej znakowo. Bardziej symbolicznie.



Wernisaż wystawy „Andrzej Pągowski. Plakaty filmowe od Abby do Życia wewnętrznego”

Data: 28. lipca godz. 18.00 – 21.00

Miejsce: Galeria Plakatu, ul. Św. Mikołaja 54/55, 50-127 Wrocław

<https://www.facebook.com/events/248427765749250/>

Wystawa „Filmowy alfabet Andrzeja Pągowskiego”

Termin: 26.07 – 11.08

Miejsce: Galeria Polskiego Plakatu, ul. Św. Mikołaja 54/55,
50-127 Wrocław

**Wstęp bezpłatny, w trakcie trwania Festiwalu cały tydzień
od 12 - 18:00,**

**w dniach 7-11.08. czynne w godzinach 12:00 do 18:00, w
sobotę 11.08 - 12:00 do 16:00**

Kontakt dla mediów:

Agnieszka Pajak

agnieszka.pajak@mywaymedia.pl

kom: 608 631 620

Tekst i fotografie: materiały prasowe organizatorów

Na zachodnich rubieżach Słowiańszczyzny



Florian Śmieja w Dreźnie nad Łabą, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Florian Śmieja

Amerykańskie biuro podróży specjalizujące się w ambitnych wycieczkach dla wychowanków kanadyjskich i amerykańskich uczelni wyższych, ogłosiło kilka lat temu dwutygodniową wyprawę do Czech, Niemiec i Polski. Jedną z atrakcji stanowił spływ luksusowym statkiem holenderskim po Wełtawie i Łabie z Pragi do Tangermünde przez Drezno i Magdeburg. Towarzyszyłem tej wycieczce w charakterze pokładowego instruktora, który m.in. miał obowiązek wygłosić kilka odczytów na temat zwiedzanych ziem.

Uczestnicy rekrutowali się spośród emerytowanych pracowników naukowych, urzędników państwowych i przedstawicieli wolnych zawodów. Byli tam lekarze, prawnicy, posłowie do parlamentu, a nawet minister z Quebecu. Speszyła mnie nieco lista lektury przesłana z centrali: dla Polski ktoś mało zorientowany przepisał książkę o getcie i powieści Jerzego Kosińskiego. Nie musiałem się jednak martwić o parametry moich wykładów, gdyż w sukurs przyszedł mi Philip Ryan, którego broszurę o rzece Łabie, każdemu z nas wręczono przed rejsem. Otóż na samym już początku sympatyczny autor bez owijania w bawełnę określił sytuację na tamtych terenach jako tysiącletnie zmaganie się żywiołu germańskiego ze słowiańskim i zapoczątkowanego właśnie na rzece Łabie przez Henryka i jego syna Ottona I. Osiemdziesiąt kilka osób załadowało się na statek i po dwudniowym postoju i zwiedzaniu Pragi ruszyło w dół rzeki, korzystając z licznych na tym odcinku śluz. Niedaleko panującego na wzgórzu barokowego zamku Melnik wpłynęliśmy do Łaby. Stamtąd już było blisko do cudownych krajobrazów Szwajcarii Czeskiej przechodzącej w Saską, wśród wymyślnie rzeźbionych piaskowych skał i pierwszych niemieckich miejscowości turystycznych. Z kolei pojawił się potężny, historyczny zamek Königstein, gdzie August Mocny trzymał alchemika, który miał mu wyprodukować złoto, aż w końcu odkrył jak robić porcelanę. W czasie ostatniej wojny, w zamku więziono głównie oficerów francuskich i przechowywano skarby drezdeńskie. To w tamtejszej okolicy Weber miał znaleźć

natchnienie do sceny z burzą i diabłem do opery „Wolny strzelec’”, a ja wyobrażałem sobie, że natchnął go górnośląski Pokój, gdzie również przebywał i gdzie komponował.

Mijając różne malownicze osady założone przez Słowian, nadal noszące nazwy świadczące o swoim pochodzeniu, dopłynęliśmy do pałacu w Pillnitz, wzorowanym na chińskim pałacu w Kantonie. Ponoć importowani gondolierzy wozili Augusta Mocnego i jego gości (wśród nich hrabinę Cosel zanim została osadzona w Stolpen) do pobliskiego Drezna, które stało się jednym z najpiękniejszych miast Europy i nazwane zostało Florencją nad Łabą. Dziś również, podźwignąwszy się z barbarzyńskiego bombardowania, imponuje swoimi budowlami, operą i pałacem Zwinger. Liczne kościoły ozdobione złożonymi koronami świadczą o wielkiej epoce ambitnego elektora, a później króla Polski. To w pobliskim Loschwitz (wszystkie miejscowości, których nazwy mają końcówkę -itz są słowiańskiego pochodzenia objaśniła niemiecka przewodniczka) Schiller napisał swoją „Ode do radości”. W przypałacowej katedrze katolickiej odbywało się akurat polskie nabożeństwo (była niedziela) choć tylko garstka ludzi była w świątyni. W Dreźnie znajdziemy wspomnienia po Napoleonie i tam żył uroczy bazarz Karol May, którego przygodowe i podróżnicze książki zauroczyły pokolenia młodzieży, nim słyszała ona o Harrym Potterze.

Meissen, Miśnia była kolejną miejscowością nad Łabą. Na granitowej skale stoi zamek-katedra, symbol losów tego regionu. Saksonia była warownią ludów germańskich, ona opierała się Węgrom, Czechom i Słowianom Połabskim. Kiedy w dziesiątym wieku wyłoniła króla Henryka i jego syna Ottona, z bastionu obronnego, przekształciła się w forpocztę ruchu kolonizacyjnego i podboju wschodu zniewalając, asymilując lub tępiąc pogańskich Słowian na prawym brzegu Łaby. Układ papieża z cesarzem dał Niemcom szansę ekspansji militarnej i ekonomicznej pod wygodnym płaszczykiem niesienia wiary i cywilizacji. Wnet koloniści niemieccy zagospodarowali wielkie obszary dotąd słabo zorganizowane, względnie spustoszone przez najazdy tatarskie. To zamki pobudowane w Miśni, Magdeburgu i innych miejscowościach stały się bazami ekspansji wschodniej stwarzając zagrożenie dla mieszkańców tych ziem, a w końcu dla racji bytu ich politycznych organizacji.

Dziś Meissen to ładne średniowieczne miasto, które wyszło z wojny bez szwanku, a znane jest powszechnie z fabryki porcelany, którą również zaliczyliśmy na naszej trasie. Przeniesiono ją z zamku, gdzie powstała, by łatwiej było utrzymać tajemnicę manufaktury.



Zofia Śmieja przy motorówce na Łabie, fot. arch. Z.i F. Śmiejów.

Dalej płynęliśmy przez równinę do miasta Torgau mijając miejscowości przemysłowe. Powiedziano nam, że aczkolwiek 80% wody Łaby użytkowane jest przez przemysł, jest ona pięciokrotnie czyszczona zanim wraca do rzeki. Torgau to jedno z dobrze zachowanych dawnych niemieckich miast. W imponującym zamku chętnie rezydowali królowie Saksonii. W jego lochach nadal trzymane są niedźwiedzie. Luteranie zawiązali ligę w tym mieście, tam car Piotr Wielki spotkał się z Leibnitzem, a Napoleon miał kwaterę. Tam wreszcie amerykańskie wojsko nawiązało kontakt z oddziałami sowieckimi, lecz ku konsternacji Niemców zatrzymało się nie poszło dalej na niedaleki przecież Berlin.

Wpływając do Wittenbergi już z rzeki zobaczyliśmy kościół, do którego drzwi Luter przybił swoich 95 tez protestu. Zwiedziliśmy miejsca i pamiątki związane z reformatorem łącznie z jego i Melanchtona pomnikiem stojącym przed potężną budowlą ratusza. To ci dwaj ludzie ze spokojnego prowincjonalnego miasta zrobili głośny ośrodek protestu i religijnej rewolucji.

Nie zatrzymując się w Dessau i zostawiając za sobą jego słynny Bauhaus, który przetrwał wojenne bombardowania, dopłynęliśmy do największego na Łabie portu w Magdeburgu. Podziwialiśmy z odległości jego piękną sylwetkę, z której wyróżnia się wczesna, pierwsza gotycka katedra nad Łabą. Miasto od słowiańskich początków za Ottona I stało się ważnym emporium handlowym i ośrodkiem politycznym. Stamtąd prawo magdeburskie, jako nowoczesne, poszło na wschód i na południe. Miasto uległo zniszczeniu w wojnie trzydziestoletniej i ucierpiało w ostatniej wojnie. Na rynku nadal jednak stoi statua Złotego Jeźdźca, a niedaleki kanał i bliskie wejście Czech do Unii Europejskiej zapowiadają lepszą przyszłość dla wodnej komunikacji śródlądowej, tak dla Magdeburga ważnej.

Końcowym przystankiem na Łabie było urocze średniowieczne miasteczko Tangermünde z przyjemnej, czerwonej cegły. Zbudował je w czternastym wieku Karol IV usiłując z rzeki Łaby zrobić wygodną arterię dla handlu Czech z Niemcami i dalszej ekspansji merkantylnej na Morze Północne. Dziś możemy

podziwiać ciągle jeszcze jego zamek i potężne mury miasta.

Stanąwszy na brandenburskiej równinie znaleźliśmy się na piaskach, które stały się kolebką Prus, pojechali do Potsdamu, jeszcze jednej słowiańskiej osady, a potem stolicy starego Fryca, króla-rabusia, gdzie stoi jego ulubiony pałac, ale gdzie także na ironię podpisany został układ na mocy którego wiele mozolnie przez wieki zajmowanych ziem dostało się ponownie w słowiańskie ręce.